A... B... C...

Eliza Orzeszkowa



Gebethner i Wolff, Warszawa, 1888

Pobrano z Wikiźródeł dnia 3 lutego 2026

A... B... C...

W wielkiem mieście, wielkich Niemiec, Joanna Lipska codziennie przechodziła około wielkiego gmachu, którego front teraz właśnie rozszerzano i przyozdabiano, najlżejszej uwagi na niego nie zwracając. Wielkiem było to państwo i wielkim zbudowany przez nie gmach sądowy; cóż ona z potężnemi wielkościami temi mieć mogła wspólnego! Wiedziała, że w tych obszernych ścianach, porzniętych szeregami wielkich jasnych okien, rozstrzygają się losy tych, którzy wiodą majątkowe spory lub popełniają występki i zbrodnie. Majątkowych sporów ona mieć nie mogła, nie mając żadnego wcale majątku; gdyby zaś kiedykolwiek nasunęła się jej myśl, że może być obwinioną o popełnienie zbrodni, wprost parsknęłaby śmiechem. Ale myśl ta nie nasunęła się jej nigdy, i nigdy wielki gmach sądowy nie zwrócił na siebie szczególnej jej uwagi. Była ona tak małą ze swem skromnem nazwiskiem, ze swem zupełnem ubóstwem i ze swą szczupłą dziewiczą kibicią! Nosiła zawsze czarną wełnianą suknię i czarny kapelusz, ani ozdobny, ani modny, lecz zpod którego widać było gęstwinę ślicznych włosów, tak prawie jasnych jak len, gładkich i lśniących nad czołem, w prosty, ciężki warkocz zwiniętych z tyłu głowy. Cerę twarzy miała bladawą i często zmęczoną, małe różowe usta i wielkie szare oczy, które kryształową swą przezroczystością przypominały

czasem oczy dziecięce. Młodą była i niewątpliwie ładną, lecz każdy znawca ludzi poznałby w niej od razu jedno z tych dziewcząt, w każdem mieście licznych, które nie bawią się i nie stroją nigdy, jadają niewiele, oddychają powietrzem wąskich ulic i ciasnych izdebek. Taki sposób życia tamuje rozwój wdzięków i zarazem ukrywa je przed ludźmi. Niepielęgnowane i nieuwydatniane kwitną one blado i więdną niepostrzeżone, jak kwiaty, które zdrobniały i spłowiały w cieniu; zaćmiewa je i zasłania często łopuch byle jaki, lecz wygodnie i pysznie rozrastający się w blasku słońca. Dziewczyna z lnianemi włosami i delikatną dziewiczą kibicią byłaby może bardzo ładną, gdyby miała cerę świeższą, swobodniejsze ruchy, świetniejszy strój, gdyby nakoniec chciała i umiała rzucać się ludziom w oczy, śmiało, zalotnie. Ale widoczne było, że czynić tego nie chciała i nie umiała. Blada i przywiędła, z ulicznym gminem zmieszana, w swojej wiecznej czarnej sukience, szła ona zawsze ulicami miasta śpiesznie, z kibicią trochę naprzód podaną, z czołem trochę pochylonem, a drobne i kształtne jej stopy, w grubem, brzydkiem obuwiu, prędko, prędko, bez względu na gracyą ruchów, stąpały po nierównych kamieniach chodnika. Teraz codziennie zeskakiwać musiała z chodnika i okrążać mularskie rusztowanie, wzniesione u ściany sądowego gmachu. Raz tylko podniosła głowę i popatrzała na robotników, pracujących u szczytu rusztowania, popatrzała chwilę i pobiegła dalej. Pomiędzy nią a tym gmachem wielkim i napełnionym posępnemi dźwiękami sporów i zbrodni, cóż wspólnego być mogło?

Nikt a nikt nie zwrócił był na to uwagi, ale to pewna, że przed niedawnym czasem wyraz jej twarzy bywał bardzo smutny i stroskany, a czarna suknia oszyta u dołu białą taśmą. Nosiła żałobę po ojcu i ciągle myślała o tem, że powinna koniecznie znaleść sobie sposób zarabiania na życie, aby nie obciążać sobą ciężkiego życia brata. Była to myśl pozioma i prozaiczna, niemniej rysująca często głęboką zmarszczkę na jej młodziutkiem czole. Cierpiała wtedy bardzo i dużo myślała, nietylko nad sobą, ale czasem nad całym światem i różnemi jego urządzeniami. Czasem także wyglądała tak, jakby wstydziła się czegoś i wtedy jej oczy zdawały się pokornie przemawiać do ludzi:

— Przebaczcie mi, że istnieję!

Dopóki żył stary ojciec, wiedziała, że żyje dla niego, a także nie znała nędzy. Teraz chodziła po świecie z nieustanną myślą:

— Naco ja komukolwiek lub czemukolwiek przydać się mogę?

Często bywała głodną i miewała podarte obuwie, myśląc zaś o kawałku chleba czy bułki, albo o całych trzewikach, myślała zarazem.

— Wszakże biedny Mieczek sam nie ma zawsze kawałka mięsa, a koszule jego drą się już w kawałki! A tu ja jeszcze siedzę mu na karku!

Była to troska pozioma, prozaiczna, przyobleczona w głowie dziewczyny w formę trywialnych słów; niemniej, ilekroć nikt jej nie widział, drobne jej ręce załamywały się rozpaczliwym ruchem, łzy młode, więc rzęsiste, opływały policzki, a drżące z żalu usta szeptały pytanie.

— Naco ja komukolwiek czy czemukolwiek na świecie przydać się mogę?

Miała znajome i rówieśnice, które w takiem samem jak jej położeniu żyły sobie zupełnie spokojnie, a niekiedy nawet i wesoło. Zręcznie i chciwie chwytały one drobne, codzienne przyjemności życia, karmiły się niemi, oczekiwały lepszej przyszłości, nie rozglądały się po świecie i nie oglądały się na nikogo, było im dość dobrze. Ona tak nie mogła. Dlaczego? Może sama natura stworzyła ją nieco inaczej; może naturze dopomogły w tem rozmowy usłyszane, książki przeczytane, widoki tych i owych istnień sąsiednich, trochę wiedzy przelanej w jej głowę z ust ojca, który niewiele przed wydaleniem się swem z tego świata, wydalony został z posady nauczyciela miejscowej szkoły męskiej. Gdyby był dłużej posadę tę zachował.... A! wcale inaczej działoby się teraz z dwojgiem jego dzieci. Ale zachować jej nie mógł. Dlaczego? Daleka przyszłość zdumiewać się nad tem będzie; tymczasem wszyscy to łatwo odgadną. W sile wieku usłyszał, że nie ma prawa pracować tak jak chciał i umiał, ani pożywać owoców swej pracy. Może już przedtem cierpiał wiele i zdrowie sterał; usłuchał od razu i odszedł ze świata. Na miejskim cmentarzu nie otworzy się już mogiła i nie wyjrzy z niej przedwcześnie osiwiała głowa pedagoga, z zaczerwienionemi od pracy oczyma i wielką chmurą zmarszczek, którą na czole jego złożyły nie lata, lecz jedna chwila, ta, w której mu w ścianach szkoły powiedziano: »Idź ztąd precz!« Poszedł, a gdy tylko zniknął, przed córką jego stanęły znaki zapytania: Co czynić? pozostać z bratem,

gotować mu obiady, naprawiać jego bieliznę, wieczorami czytywać mu książki, rozrywające po pracy biurowej w landraturze? Wszystko to czynić chciała i umiała, niczem z tego nie gardziła, lecz ta jego biurowa praca... Zaledwie na wyżywienie i przyzwoite odzienie dla jednego starczy. Nakoniec, choć gotowanie obiadów, zamiatanie mieszkania, naprawianie bielizny nie były dla niej robotami trudnemi, ani upokarzającemi, ale dusza jej zaspokoić się niemi nie mogła, jak płomyk wiła się w jej piersi, buchała w górę, rwała się wyżej... Pomimo trosk i zatrudnień bardzo poziomych, miała ona, ta młoda dusza, poezyą swoję i ambicyą. Pragnęła czynić coś i czemś być.

Dość długo Joanna biła się z różnemi myślami i zamiarami, aż dnia pewnego wbiegła do małej swojej kuchenki widocznie wzruszona. W ręku trzymała kosz z bielizną, którą do maglowania nosiła. Pomimo, iż był dość ciężki, prędko wbiegła po wąskich i stromych wschodkach i z łatwością postawiła go na stole. Szczupła i blada, miała jednak siłę organizacyj nerwowych i czynnych. Postawiwszy kosz na stole, pozostała nieruchomą i zamyśliła się. Stała na podłodze z desek grubych i sterczących czarnemi głowami gwoździ; nad nią zwisał sufit niski, belkowany, ciemny od pyłu i dymu; pod czterema ścianami, oklejonemi lichem i pstrem obiciem, stało parę stołów i ław drewnianych, szafka z kuchennem i kredensowem naczyniem, łóżko zasłane szczupłą i białą jak śnieg pościelą. Tu sypiała; pokoik przyległy służył za sypialnię i pracownię jej brata, i było to już całe ich mieszkanie, znajdujące się na tak zwanej «salce», czyli

górnem pięterku domu, który wyglądał zupełnie tak, jakby wzór jego dokonany został przez pięcioletniego architekta, za pomocą ustawienia z siedmiu kart dwóch trójkątów u dołu a jednego w górze. Takie górne trójkąty domków miejskich zawierają w sobie najtańsze mieszkania; dlatego Lipscy zajęli je po śmierci ojca. Na dole znajdował się szynk ze sklepikiem od ulicy a wąskiemi drzwiczkami od dziedzińca i mieszkała rodzina właściciela szynku. Dziedziniec roił się od mieszkańców różnej płci i wieku.

Promień zachodzącego słońca, wnikający przez małe okno, oblewał złotem głowę stojącej nieruchomo dziewczyny, a na czarnej jej sukni nielitościwie odkrywał starannie zacerowane rozdarcia. Splecione ręce zwiesiła na suknię, powieki miała spuszczone i na ustach marzący uśmiech. O czem z taką rozkoszą marzyła? Czy o tanecznym wieczorku jakim? o nowej sukni z wesołą, jasną barwą? Może o czułem słówku, albo ognistem spojrzeniu kochanka?

Obudziła się z zamyślenia swego, podniosła twarz i głośno klasnęła w ręce. Byłto giest radości. Z dziecinną też prawie radością poskoczyła z miejsca i uchyliła drzwi sąsiedniego pokoju. Tu jednak palec do ust przyłożyła i samę siebie upomniała:

— Cicho!

Potem, cichutko znowu samę siebie zapytała:

— Śpi, czy nie śpi?

W pokoju, przybranym w dość liczne, ale staroświeckie i ubogie sprzęty, na twardej kanapce leżał młody mężczyzna średniego wzrostu, uderzającej chudości ciała, z twarzą

ściągłą, ładną, ale której białość niemal papierowa raziła pozorem niezdrowia i martwoty tem przykrzej, że odbijała od krótkiego czarnego zarostu i okrywających oczy ciemnych okularów. Niegdyś Mieczysław Lipski był dzieckiem zdrowem, choć zawsze trochę powolnem i nieśmiałem, ale trwało to krótko. Miał lat szesnaście i ukończył pięć klas gimnazyalnych, kiedy cera jego nabywać poczęła tej przykrej, monotonnej, papierowej białości, ręce wychudły, ruchy zleniwiały; bolące oczy, z porady lekarza, okryto mu wtedy jak starcowi ciemnemi okularami; odtąd nigdy już ich nie zdejmował. Szkołę porzucił, do rzemiosła był za słaby, zaczął pracować w biurze landratury. Karyera jego była złamana na zawsze. Dlaczego? Nikt sobie o tem dokładnej sprawy zdać nie mógł. Poprostu uległ był naciskowi czegoś niewidzialnego, ale przecie istniejącego — gdzie? w szkole? w domu osmuconym dymisyą ojca? czy w sposobie życia ubogiej rodziny? czy w moralnem powietrzu, którem oddychało to miasto? Możnaby dociec, lecz trudno dociekać.

— Czy śpisz, Mieczku? Mieczku, czy śpisz?

Nie spał już, usłyszał ciche zapytanie siostry i jeszcze niewyspany po ciężkiej pracy biedny kancelista landratury, leniwie wyciągając się na kanapce, wydobył z gardła wzajemne, nieokreślone, gapiowato brzmiące pytanie:

— Ha?

Potem, podniosłszy się nieco, oba ramiona w całej ich długości w górę wyprężył, i głośno poziewając, dopóty usta szeroko otwierał, póki mu ich nie zamknął prawdziwy grad pocałunków. Śmiejąc się głośno i mocno całując brata w

usta, policzki, czoło, Joanna wołała:

— Mam już Mieczku, mam! mam czego chciałam! znalazłam!

Leniwie, obojętnie, ale bardzo łagodnie uwolnił się z jej objęcia, i przewlekłym, nosowym trochę głosem zapytał:

— No, cóż tam takiego? Istna waryatka z ciebie. Co znalazłaś? pieniądze, czy co?

Poważniejąc nagle, odpowiedziała:

— Zajęcie.

Kancelista wyprostował się całkiem, zdjął okulary, wytarł je chustką, włożył napowrót, i zza ciemnych szkieł, zaczerwienionemi mrógającemi oczyma patrząc na siostrę, zapytał:

— Jakie? a pieniądze czy z tego będą?

Joanna stała o kilka kroków przed nim i opowiadała mu, po raz pierwszy, wszystkie swe troski i zmartwienia, któremi dotąd daremnie zasmucać go nie chciała. Niedawno powzięła już była zamiar wyjechania gdziekolwiek, na początkową nauczycielkę, bonę, zarządzającą wiejskim jakim domem... gdziekolwiek i na cokolwiek, byleby już raz coś z sobą zrobić, coś rozpocząć... Ale wahała się. Sama nie wiedziała dobrze do czego zdatną być może, bo uczyła się tylko w domu, niewiele... To co umie, umie dobrze, sam ojciec przecież ją uczył... ale niewiele... Przytem tak jej było żal rozstawać się z bratem! Dwoje ich tylko na świecie, a on często niezdrów bywa i jej starań potrzebuje...

Tu, w szarych oczach opowiadającej zakręciły się łzy, lecz wnet zniknęły. Dziś spotkało ją wielkie szczęście. Rożnowska, właścicielka magla, kobieta dostatnia i

położenie jej znająca, zapytała jej, czyby nie chciała uczyć jej wnuczek, dwóch niewielkich dziewczynek, bardzo mądrej nauczycielki jeszcze niepotrzebujących. Naturalnie, propozycyą tę z wdzięcznością przyjęła. Małe Rożnowskie przychodzić do niej będą na lekcye, bo tam przy turkocie, i zawierusze magla, uczyć się nie sposób. Ale to tylko początek. Rożnowska przyrzekła, że zarekomenduje ją jakiejś swojej znajomej, która na tej samej ulicy ma dwa domy i chłopca, którego chce do szkoły przygotować. Chłopiec ten przyjaźni się z wnuczkami Rożnowskiej i razem z niemi na lekcye przychodzić będzie. Ale i to tylko początek. Byle zacząć! Ten duży Kostuś naprzykład, syn tego ślusarza, który wiecznie siedzi i pije, a którego matka zabija się praniem bielizny! Już ma dwanaście lat, a czytać jeszcze nie umie i często za ojcem do szynku wsuwać się zaczyna. Matka nad tym chłopcem ręce łamie i gdyby go ktokolwiek chciał uczyć i od złego odwodzić, choć uboga, wynagrodziłaby to wedle możności... Jest jeszcze w perspektywie dziewczynka tego mularza, który im w tym roku piec naprawił i córkę z sobą czasem przyprowadzał, i malutka Mańka, córeczka stróża, której też wkrótce pora będzie uczyć się czegokolwiek. Dzieci te zna już ona dobrze. Dużego Kostusia nieraz do swej kuchenki przyprowadzała i rozczochraną jego głowę zanurzała w wodzie i szorowała mydłem, poprostu piorąc tego chłopca, tak jak jego matka prała bieliznę. Ten śmieszny Kostuś taki duży, barczysty, z wielką głową, chodzi zawsze zgarbiony, a stąpa tak ciężko, aż drży podłoga; łobuz też z niego, ulicznik, wódkę już lubi — a jednakże dla niej łagodny jak

baranek, daje się myć, czesać, napominać... Pewna jest, że można będzie tego chłopca od ulicy i szynku wyratować; co się zaś tyczy tej malutkiej Mańki, to oddawna już przepadają obie za sobą...

— Ty zresztą wiesz, Mieczku, że ja wogóle za dziećmi przepadam... Nie wiem dlaczego, ale tak jest... Może to po ojcu... Ot! myślałam i wymyśliłam. Rożnowska mi pomogła... Ale to tylko początek. Ziarnko do ziarnka zbierze się miarka, a później... później...

Wszystko to mówiła z wielkim i coraz większym zapałem; w ciemnawym pokoju z oknem od północy żaden promień słońca nie padał na nią, a jednak po czole jej mknęły widoczne blaski, i rumieńcem wezbranego życia staczały się na policzki.

Mieczysław siedział prosto i sztywnie, zza okularów swych wpatrując się w nią nieruchomo. Nieruchome też były rysy mizernej i sennej jego twarzy, trudno byłoby odgadnąć, czy to co mówiła mu, sprawia na nim jakiekolwiek wrażenie, czy też żadnego wcale nie sprawia. Tyle tylko, że oczu nie spuszczał z ożywionej jej twarzy, i że chude palce długich i białych jego rąk, które wsparł o kolana, coraz żwawiej bębniły po wytartem suknie ubrania. Gdy Joanna mówić przestała, przewlekłym swym, nosowym głosem powtórzył za nią:

— Później!... później!...

A potem, szczególnym ruchem, zakłopotanie czy żartobliwość oznaczającym, wsuwając szyję w krochmalny kołnierz koszuli, nie bez wahania się zapytał:

— No?... cóż?... takie dalekie projekty układasz... a za

mąż wyjść nie myślisz?

Wzruszyła ramionami.

— Wątpię, aby to kiedykolwiek stać się mogło. Wiesz o tem, że nikogo prawie nie znamy, nigdzie nie bywamy... jakżeby więc? jakim sposobem? Zresztą, może... ale spuszczać się na to nie mogę...

Z szyją wciąż w kołnierz wsuniętą i podniesioną nieco głową, brat wpatrywał się w nią jak i wprzódy, tylko po wąskich jego wargach, czarnym wąsem ocienionych, przewijało się coś nakształt żartobliwego uśmiechu.

— No... — zaczął znowu, — a ten doktor?

Tym razem Joanna zarumieniła się i ze zdziwieniem na brata spojrzała. Jakto! więc odgadł on w niej to, o czem nigdy przed nikim ani jednego słowa nie przemówiły jej usta! On, tak obojętny i senny, musiał jednak pilnie na nią spoglądać, kiedy mógł, nie wiedzieć z czego, z oczu jej chyba, z gry rysów odgadnąć... Zresztą nie było tu o czem mówić. Nie było tu wcale, ani romansu żadnego, ani nawet jego przypuszczenia. Ot tak jakoś, serce uderzyło żywiej. Musiało przecież żywiej uderzyć, młodem będąc, ale zresztą milczało, bo nie było w niem nadziei.

Rumieniec zgasł na twarzy Joanny, oczy jej i usta przybrały wyraz szczególnej powagi. Po chwili milczenia, ciszej niż przedtem mówiła, odrzekła:

— Mój Mieczku! ty wiesz dobrze, że byłoby to dla mnie marzenie zbyt wysokie... Doktor Adam był dla nas bardzo dobrym, w czasie tak długiej choroby ojca... i powiem ci szczerze, że wydaje mi się on ideałem człowieka. Ale właśnie dlatego, że tak jest, wiem dobrze, iż nie myśli on o

mnie, i nie pomyśli nigdy...

Pochyliła głowę i dokończyła cicho:

— Tylko widzisz... miasto nasze takie ciasne... ludzie tu wszystko jedni o drugich wiedzą i czasem spotykać się z sobą muszą... więc chcę, aby on wiedział... że ja... wiem dobrze, iż między nami, nic nigdy nie będzie, ale chcę... aby wiedział, że zasługuję przynajmniej na jego szacunek...

Podniosła twarz i przez szybę okna patrzała w górę, wysoko, jakby w niedoścignionej oddali widziała jakąś tęczę idealną, która zawisła nad szarem jej życiem. Mieczysław wydobył szyję z krochmalnego kołnierza i spuścił głowę. Palce jego bębniły wciąż po kościstych kolanach, usta nieco się rozwarły. Trudno byłoby powiedzieć, czy smutnym czuł się, znudzonym, albo jeszcze sennym. Nagle zapytał:

— No, a ileż ci płacić będą?

Joannę zapytanie to obudziło natychmiast z zamyślenia czy marzenia. Natychmiast górną, rozwiewną swoję tęczę opuściła dla spraw powszednich, które miały dla niej ogromne znaczenie. Wesoło znowu powiedziała bratu, że zarobek jej będzie niewielki, jednak w ich wspólnem życiu zaważy wiele. Zresztą to tylko początek... ziarnko do ziarnka — zbierze się miarka, i później, później...

Mieczysław wstał. Prosto, sztywnie postąpił kilka kroków, chude swe ramiona w wytartych rękawach zaokrąglił dokoła kibici siostry i mocno ją kilka razy w czoło pocałował. Ona, skoczyła mu na szyję. Uradowana była i zdziwiona. Objawy czułości bywały u niego tak rzadkie, że takiego jak teraz, prawie nie pamiętała. Potem

dopiero, gdy wziąwszy czapkę wyszedł do biura, a ona pogrążona w myślach sama jedna siedziała w kuchence, po głowie jej przemknęło:

— Czy on tak rozczulił się dla mnie z powodu tego przyszłego zarobku? Więc o niczem więcej nie pomyślał, tylko o pieniądzach!...

Jednak tego wieczoru smutne myśli prędko od niej uciekły. Przy zapadającym zmierzchu, z dołu, zpod podłogi, wzbijać się ku niej zaczęły wciąż głośniejsze, niesforne gwary, stukania, krzyki. Była to chwila, w której, gdy światło dnia usypiało, budził się i życie swe rozpoczynał szynk. Jakby odgłosy tego nocnego, podziemnego życia z miejsca ją poderwały, Joanna zerwała się z ławki i szybko zbiegła na dziedziniec. Biegła ku mieszkaniu ślusarza pijaka i żony jego praczki. Po drodze, sukni jej uczepiła się dziewczynka malutka, bosa, pucołowata, rumiana i z kaczemi ruchami, obok niej biegnąc, razem z nią zniknęła za drzwiami ciemnej sionki. Gdy po upływie dość długiego czasu wyszły obie na dziedziniec, za niemi ukazał się ślusarz, człowiek barczysty, z twarzą obrzękłą od pijaństwa, załzawionemi oczami i wielką rozczochraną czupryną nad wąskiem czołem. Z ubrania i całej postaci jego wiał nieporządek jego przyzwyczajeń, nie był jednak dnia tego pijanym, tylko czegoś uradowanym i rozrzewnionym. Za progiem swego mieszkania pochylił się i schwyciwszy rękę Joanny, z całej siły swych warg ją pocałował. Jednocześnie duży Kostuś, barczysty, ciężki, cały w grube płótno odziany, bosemi stopami ciężko o kamienie uderzając, ze dzbankiem pełnym wody pobiegł na schodki, prowadzące

do mieszkania Lipskich. Od dość dawna już oddawał on czasem Joannie różne drobne, gospodarskie przysługi. Rzecz dziwna! Dwunastoletnie to dziecko miało już czoło zmarszczone i patrzało na ludzi zpod brwi, nieufnie, czasem przebiegle i ze złością. Matka zapracowana i wiecznie zgryziona, często łajała go i nawet biła; ojciec, który przepadał za nim, przynosił mu z szynku niedopałki cygar i obwarzanki cuchnące wódką; zdrojem zabawy, rozkoszy i poznania życia był mu — szynk. Jednak od niedawna, to stare, dziecinne serce po raz pierwszy może rozkwitło uczuciem innem niż uczucie krzywdy, bojaźni, bosych nóg i karczemnych wrażeń. Nigdy w życiu nie widział tak ślicznej panienki, jaką w oczach jego była Joanna, i nie słyszał ani tak łagodnego głosu, ani tak ciekawych powiastek, jak te, które opowiadała mu ona, ilekroć gotowała obiad lub naprawiała bieliznę, a on dopomagał jej w czem mógł, albo przy ścianie kuchenki siedział na ziemi, obejmując ramionami swe podniesione kolana i patrząc na nią już nie zpod brwi i dziko, lecz śmiałym, roztropnym wzrokiem. Odkąd mu powiedziała, aby był dobrym dla malutkiej Mańki, nie bił jej nigdy, nie szczypał i nie straszył, a bardzo często widzieć ich można było trzymających się za ręce i z powagą przechadzających się po dziedzińcu. Często też wstępowali w ten sposób na schodki i wchodzili do kuchenki Lipskich.

W kuchence bywało potem codziennie bardzo gwarno. Zza cienkiej ściany górnego pięterka domku wychodziły na zewnątrz cieniuchne głosy dziecięce, bąkające:

— A... b... c... a... b... c...

Inne, starsze nieco, prawiły:

— Pszczoła, acz mała, pożytecznym jest owadem. Ma cztery skrzydełka, sześć nóżek, dwa różki i żądło...

Albo:

— Pięć razy sześć trzydzieści... cztery od dziesięciu sześć i t. d.

Duży Kostuś okazał się szczególnym wielbicielem kaligrafii. Nic mu się tak bardzo nie podobało, jak wodzenie piórem po papierze, to słabiej, to mocniej i gdy tylko zaczął już pisać litery, formalnie lubował się swemi arcydziełami. Joanna sama ułożyła dla niego kaligraficzne wzory. Miała w tem swój cel. Chłopiec, zakreśliwszy całą stronicę, brał papier w obie ręce, szerokie swe plecy w płóciennym spencerze garbił nad stołem i głośno, z tryumfem, z prawdziwą rozkoszą odczytywał swoje pisanie.

— Nie czyń drugiemu, co tobie niemiło... Choć ubogo, ale chędogo... Pieczone gołąbki nie wpadają do gąbki...

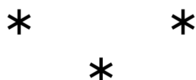
W porze owej Joanna nigdy już nie bywała smutną. Nawet gdy szła ulicami miasta, można było spostrzec w ruchach jej i wyrazie twarzy znaczne zmiany. Wyglądała raźniej, zdrowiej i pogodniej. Obuwie jej nie było już nigdy podarte, ani suknie tak zniszczone. Odkwitła. Zdobycze jej były bardzo małe, ale wiadomo, że pojęcie wielkości i małości jest na tym świecie niezmiernie względne. Dla niej drobiazgi te były prawie zbawieniem. Od jednych otrzymywała małe kwoty pieniężne, inni wynagradzali ją inaczej, jak mogli. Praczka bezpłatnie myła ich bieliznę; mularz posiadający obszerny ogród, przynosił im warzywa i owoce; mieszkający naprzeciw piekarzowie, w dodatku do

miesięcznego rubla, przysyłali codzień małą bułkę chleba; stróż domu darmo drzewo na opał rąbał, a czasem to i owo na rynku kupił i przyniósł w prezencie panience, która dla jego małej była tak dobrą... Jakże zdziwiła się, gdy spostrzegła, że nawet pijak ślusarz płacić jej pragnął monetą, innej wprawdzie natury, ale która niemniej posiadała dla niej cenę wysoką. Ilekroć wracając z miasta wchodziła na dziedziniec, człowiek ten nie wiedzieć zkąd zjawiał się także. Czy ujrzawszy ją przez okno wypadał z szynku, lub wysuwał się zza węgła domu, u którego próżniaczo godzinami przesiadywał, lub w lepszych dniach swoich przerywał ślusarską robotę i wychodził ze swego mieszkania, dość, że zawsze, nieodmiennie, z zegarkową regularnością, gęsta czupryna i niskie ciemne czoło pochylały się przed nią, a żółte obrzękłe wargi wyciskały na jej ręku głośny, przeciągły pocałunek. Był to w gruncie rzeczy obrzydliwy pocałunek pijaka, którego ślady, bezwiednie prawie i co najprędzej ocierała z ręki, który jednak brylantem wpadał do jej serca. Jak brylanty radością świeciły jej oczy, gdy przyniosła i pokazała bratu pół tuzina śnieżnych nowych koszul, któremi zastąpiła tamte... drące się w kawałki. Tego dnia także do czarnego zawsze swego kapelusza, przypięła gałązkę sztucznych kwiatów... Teraz na ludzi patrzała śmiało i spokojnie; ale był w mieście jeden szczególnie człowiek, z którego spojrzeniem, ilekroć spostrzegła go, spotkać się pragnęła, chociaż usiłowała o tem nie myśleć. Był on dla jej ojca bardzo dobrym w czasie długiej jego choroby, widywała go wtedy często, słuchała rozmów, które z uczonym pedagogiem uprzejmie

prowadził, — potem przybył na pogrzeb, i gdy chwiejąca się szła za trumną, rękę jej oparł na swojem ramieniu. I nic więcej pomiędzy nimi nie było, ale ona i o tem nigdy nie zapomniała. Teraz widywała go tylko na ulicy, zdaleka, gdy zgrabnym jednokonnym powozikiem objeżdżał domy swoich pacyentów. Ilekroć spostrzegł ją, kłaniał się grzecznie. Nic więcej. Jednak, w jej sercu struna jakaś uparła się drżeć przy każdem jego spotkaniu i śpiewać jej o nim w godzinach ciszy. Powiedziała sobie: Niepodobna! Ale nikt już więcej nie sprawiał na nią najlżejszego wrażenia, a czasem, w noce księżycowe, po dniu pracy, spoczywając, lecz jeszcze nie śpiąc, przez szyby małego okna patrzała w górę, wysoko... To wielkie szczęście, o którego zdobyciu ani marzyła, wydawało się jej wtedy tęczą idealną, w niedoścignionej oddali zawieszoną nad szarą ziemią...

Czasem też, wyobrażała sobie, że jest drobnym robaczkiem, uwijającym się ile tylko sił starczyło u podstaw wyniosłej, aż niebotycznej budowy. *U podstaw*, wyraz ten gdzieś słyszała, czytała. Otóż, była tam teraz. Wyżej, promiennie było i świetnie. Ludzie tam dźwigali i kuli marmury drogocenne, ściągali z nieba promienie słońca, szukali klejnotów, świat i siebie stroili w blaski. Ona, razem z mnóstwem podobnych sobie maluczkich istot, zbierała w cieniu drobne pyłki, ale tak zupełnie poprzestawała na tem, że przed jej wyobraźnią przyszłość stawała pogodna, pełna i nawet z owej górnej tęczy nieznanego i na zawsze niemego uczucia, nie spadała na wargi jej żadna kropla goryczy, tylko spływało czasem trochę tęsknoty i smutku...

Często, w późne wieczory, bezecne pieśni, ohydne śmiechy, niesforne tupoty i stuki szynkowe, z dołu, zpod podłogi, buchały w ciemną lub oświetloną księżycem kuchenkę. Dziki ten hałas unosił się wtedy nad białą pościelą, nad myślami, marzeniami i dziecięco czystym, cichym snem Joanny.



Chociaż uczyła dość znaczną liczbę drobnych dzieci, nie przestała przecież zajmować się pilnie małem gospodarstwem swojem i brata. Dlatego, codziennie, raz albo i dwa razy na dzień po prowizyą i różne sprawunki wychodziła do miasta. W tych wycieczkach, najczęściej mijać musiała z bliska wielki gmach sądowy, ale nigdy najmniejszej na niego nie zwracała uwagi. Był on tak wielki, a ona była tak mała! Rozległe wnętrze jego napełniały odgłosy sporów i zbrodni, cóż więc mogła ona mieć z nim wspólnego? Jednak, — jakim sposobem to się stało, trudno dociekać, — pewnego dnia weszła do jednej z sal tego gmachu i wskazano jej zaraz miejsce, które miała zająć. Była niem ława oskarżonych. Nigdy potem nie potrafiła zdać sobie sprawy, jakim sposobem przebyła tłum i doszła do tego miejsca. Zdawało się jej wtedy, że wszystka krew zbiegła się do jej głowy, kipiała tam, szumiała, jęczała, paliła w policzki i czoło, jak rozpalone żelazo. W oczach jej ludzie, ściany, sprzęty, mgliły się i mąciły tak, że dokoła siebie widziała tylko jakąś pstrą,

migotliwą masę. Gdy rozpoznała nakoniec, że masa ta miała kilkaset ludzkich oczu, które wszystkie z wytężoną ciekawością spoglądały na nią, doświadczyła takiego uczucia, jakby odartą ze wszelkiej odzieży postawiono ją nagle pośród miejskiego rynku. Zapragnęła gwałtownie zerwać się i uciec, ale w zmąconej do głębi swej istocie miała mętne uczucie, że było to niepodobieństwem. Ci, którzy w tej chwili patrzali na nią, widzieli szczupłą, delikatną dziewczynę w czarnem skromnem ubraniu, drżącą, przelękłą, aż po pasma jasnych włosów płomiennie zarumienioną.

Była to największa z sal wielkiego gmachu. Kościelna prawie wysokość nadawała jej pozór imponujący; uroczyste wrażenie sprawiały kobierce i okrycia długiego stołu, za którym zasiedli sędziowie. Tłum ludzi różnych stanów napełniał szeregi ław ustawionych przy wnijściu. W poprzecznych ścianach wysoko umieszczone cztery ogromne okna rzucały jednolite, białe, nużące światło, na wysokie, białe, jednolite ściany, na poważne postawy sędziów, na zalegający połowę sali pstry, ruchliwy, głuchemi rozmowami szumiący tłum. Tu i owdzie jaskrawy kwiat zakołysał się na kobiecej głowie, zadzwonił i echem odbił się w górze głośniej wymówiony wyraz. Woźny sądowy wymówił kilka głośnych, dobitnych słów, i zrobiła się wielka cisza, wśród której dał się słyszeć głos przewodniczącego sądowi.

— Sprawa Joanny Lipskiej, obwinionej o utrzymywanie szkoły bez pozwolenia władz...

Słowa te przywróciły Joannie przytomność. Powstała i

na kilka zapytań przewodniczącego, odpowiedziała cicho, lecz wyraźnie. Potem usiadła znowu. Ogniste rumieńce zniknęły z jej twarzy, ukazując zwykłą jej bladość. Zarazem widać było, że ogarnia ją zamyślenie tak natarczywe i nieodparte, iż odrywało wzrok jej i słuch od rozgrywającej się przed nią, a tak zbliska obchodzącej ją sceny. W szeroko otwartych jej oczach odmalowało się zdziwienie. Wzniosła je w górę, ku ozdobnym gzemsom przeciwległej ściany; czasem głową czyniła ruchy takie, jakby we wnętrzu swem usiłowała coś nadzwyczaj dziwnego zrozumieć i — za nic nie mogła. Trudno było powiedzieć na pewno, czy zwracała jakąkolwiek uwagę na zeznanie świadków. A jednak były one głośne i trwały długo. Otyła i siwa Rożnowska w staroświeckiej mantyli i z płaskim czerwonym kwiatem na kapeluszu, chustką ocierając spoconą, wielką, dobroduszną twarz, pokilkakroć powtarzała wyznanie, że onato głównie wszystkiemu jest winna. Sumienie jej inaczej mówić nie pozwala. Przysięgła, że powie prawdę, i prawdę mówi. Onato pierwsza namówiła do tego Lipską. Dziewczyna jest ubogą i sierotą, potrzebowała zarobku, ona zaś ma wnuczki. Gdyby wiedziała, że jest w tem co złego, pewnoby nie namawiała, ale na Chrystusa przysięga, że ani jej przez głowę nie przeszło, że do złego namawia. Siwe ma włosy, ale życie przeszło jej w tem mieście, i niech wszyscy zaświadczą, czy kogo kiedykolwiek do jakiej nieuczciwości namówiła. Zachłysnęła się płaczem, jeszcze raz powtarzać zaczęła, że namawiała... nawet prosiła... ale dano jej znak, aby umilkła już i usiadła. Przyjaciółka właścicielki magla, posiadaczka dwóch domków, malutka, sucha kobiecina,

błyszcząca w tem zgromadzeniu kaszmirową suknią i eleganckiemi manierami, przyciszonym głosem, ale z przymilającym się uśmiechem oświadczyła, że książki, które jako *corpus delicti* leżały przed sądem, istotnie kupiła i darowała Lipskiej, która jej syna do septymy przygotowała tak dobrze, że teraz, gdyby nie był jeszcze zbyt małym, przyjętoby go może i do seksty. Bardzo sumiennie uczyła, bardzo sumiennie... tak sumiennie, że uczuła się ona w obowiązku zapłatę jej podwyższyć. Gdyby była wiedziała, że w tem jest co złego, byłaby pewno tego nie uczyniła ale, słowo honoru daje, że nie wiedziała. Cóż? Kto ma dziecko, ten o edukacyą jego dbać musi, a tu pod bokiem guwernantka uczciwa, sumienna i tańsza od innych, bo biedna sierota... Tu wykonała przed sądem dyg elegancki i pełny uszanowania, poczem milutko zawsze uśmiechnięta, lecz z drgającemi trochę ustami i powiekami, obok Rożnowskiej usiadła.

Od zapytywanej zkolei praczki, żony pijaka ślusarza, najmniej dowiedzieć się było można, bo ta kobieta wysoka i chuda, z twarzą wszerz i wzdłuż zoraną bólem i troskami, w grubej, krótkiej spódnicy i wielkiej chustce zarzuconej na głowę, tak była strwożona i rozżalona, że prócz kilku niewyraźnych, zaledwie dosłyszanych słów, nic wymówić nie mogła. Ramiona jej drżały pod wielką chustką, z oczu wypieczonych parą wrzątku i spieką żelazek, łzy jak groch padały na grube, poparzone, u piersi splecione ręce. Z całej jej mowy dosłyszeć można było tylko wyrazy; syn dwunastoletni, ojciec pijak, szynk w tym samym domu, nauka, dobra panienka... Odprawiono ją prędko, a miejsce

jej zastąpił mularz. Ten mówił za siebie i poprzedniczkę swoję, dużo, prędko i tak głośno, że kilka razy zalecano mu, aby głos zniżył, czemu natychmiast był posłusznym, ale ręką żylastą i silną, targając mosiężny łańcuch zegarka, albo na głowie burząc gęstwinę twardych włosów, wnet znowu w ferwor wpadał i głośniej niż wypadało dowodził, że gdy za uczenie swojej córki płacił pannie kartoflami i warzywem, to widać bardzo szło mu o to, aby córka cokolwiek umiała. Zaś, posyłać ją na pensyą — za drogo mu było. Więc, cóż miał robić? i cóż on takiego zrobił? albo i ta panienka: co ona takiego zrobiła?... Po zadaniu tego pytania, rozstawił ręce z takim giestem i tak wytrzeszczył oczy, jakby tuż przed jego wzrokiem cały świat przewracał się do góry nogami, a on za nic zrozumieć nie mógł, dlaczego tak się z nim dzieje? — Po tym mularzu, zeznawali i świadczyli jeszcze: piekarz, stróż domu, jakiś dorożkarz i jakaś wdowa po urzędniku, nakoniec i najdłużej ten, kto dokonał odkrycia, że na górnem pięterku domu, którego dolne piętro zajmował szynk, gromadka drobnych dzieci dowiadywała się o tem, że pszczoła ma cztery skrzydełka, sześć nóżek, dwa różki i żądło, że cztery od dziesięciu sześć, że nie trzeba czynić drugiemu tego, co nam niemiło i t. d.

W chwilowej ciszy, która zapanowała, gdy umilkł głos ostatniego z zeznających, wzrok Joanny powoli spłynął z góry ku tłumowi napełniającemu połowę sali. Wszyscy siedzieli na ławach, pilnie i w milczeniu śledząc bieg sprawy. Nad pstrą i nieruchomą w tej chwili masą wzbijał się jeden człowiek, który nie siedział, ale stał. Ażeby móc

lepiej wszystko widzieć, stał on za wszystkiemi ławami, na jakiemś małem podniesieniu, tak plecami do ściany przyciśnięty, jakby mu one do niej przyrosły. Oczy Joanny przyrosły do jego twarzy i napełniały się wyrazem przerażenia.

Był to jej brat, ale jakże inaczej wyglądał niż zwykle! Suche ramiona swoje w wytartych rękawach skrzyżował i mocno do piersi przyciskał; na papierowo białe jego policzki wystąpiły czerwone plamy i wzbijały się aż pod brzegi ciemnych okularów. Oddychał prędko i usta miał nieco rozwarte, co zresztą zdarzało mu się często, tylko że w tej chwili, ten charakterystyczny rys jego twarzy nie rzucał na nią wyrazu ani gapiowatości ani martwoty, lecz nieopisanego udręczenia. Z wytężoną uwagą słuchał on krótkiego, lecz energicznego oskarżenia, które wygłosił prokurator królewski i splątanej, strwożonym jakoś głosem wybąkanej obrony adwokata. Potem przewodniczący sądowi zwrócił się do Joanny, oznajmując jej, że ma prawo wyrzec w tych rozprawach ostatnie słowo, i zapytując, coby na swą obronę powiedzieć mogła i chciała?

Nad wysoką, ciężką poręczą ławy oskarżonych, podniosła się znowu szczupła, jasnowłosa, czarno ubrana dziewczyna. Powieki miała spuszczone, postawę spokojną, i tylko głos cichy, trochę drżący.

— Uczyłam dzieci, myślałam, że czynię dobrze...

Tu na mgnienie oka, w twarzy jej zaszła uderzająca zmiana. Jakby zawrzały w niej gwałtowne jakieś uczucia, podniosła czoło, oczy jej błysnęły, usta drgnęły, i poprawiając ostatnie swe zdanie, głośno, wyraźnie rzekła:

— Myślę, że dobrze czyniłam.

Bezwarunkowo była winną. Rzecz dziwna jednak, dlaczego przewodniczący sądowi nie powstał zaraz dla udania się z towarzyszami swymi do komnaty narad, lecz przez kilka minut siedział z podniesioną trochę głową i jak w tęczę wpatrywał się w obwinioną, — z jakim wyrazem oczu? tego z powodu oddalenia nikt z tłumu dostrzec nie mógł. Patrzali też na nią i jego towarzysze, z których jednemu brwi zsunęły się mocno. Trwało to bardzo krótko, minutę, najwyżej dwie minuty, poczem wstali i odeszli. Nie wracali długo. Sprawa była prosta i jasna. Dlaczegoż narada trwała tak długo?

Tubalnym głosem woźny oznajmił, że sąd do sali posiedzeń powraca.

Ze szmerem szumiących drzew wszyscy powstawali. Za stołem zasłanym suknem, przewodniczący stanął pospołu z towarzyszami swymi i zaczął czytać wyrok. Zauważono, że czytał nieco cichszym głosem, niż ten, w którym wprzódy przemawiał. Joanna Lipska, skazana została na dwieście talarów kary pieniężnej, a w razie niewypłacalności, na trzy miesiące więzienia.

Posiedzenie sądowe zamknięte; publiczność odpływa z sali. Tu i owdzie prawnicy pomiędzy sobą szepczą, że dziewczyna ta jest szczęśliwa, bardzo szczęśliwa, bo małym jeszcze kosztem przestępstwo swe okupi...

Jednak małość i wielkość są pojęciami nadzwyczaj względnemi. Tak zapewne myślał Mieczysław Lipski, który po usłyszeniu wyroku, najlżejszego poruszenia nie uczynił i stał przy ścianie jak wprzódy, skrzyżowane ramiona do

piersi przyciskając. Urzędnik jakiś w kołnierzu zrzadka haftowanym złotem, przechodził tamtędy, i spostrzegłszy go, zatrzymał się przed nim. Znał go widać, i z życzliwym uśmiechem zaczął.

— No, cóż, panie Lipski? Dobrze skończyło się wszystko! Ale jakże będzie? Sztraf czy więzienie? Jutro rano sam przyjdę do was. Ale zapłaćcie lepiej... Dwieście talarów, rzecz niewielka, a panienki szkoda...

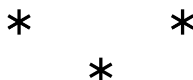
I pobiegł dalej. W tejże chwili Mieczysław oderwał się od ściany i skoczył ku wyjściu. Kilku biurowych kolegów chciało go przytrzymać i mówić coś, może doradzać... Ale jego oczy były tak rozpalone, że zza ciemnych okularów widać było ich błyski, a ostre łokcie rozpychały wszystkich i wszystko dokoła. Tak wypadł do długiej i jasnej galeryi, z rzędem ogromnych, jasnych okien, którą przepływała publiczność, zwolna znikając w dole, na wschodach. Tu obejrzał się, i we framudze jednego z okien spostrzegł Joannę, która tam stała może czekając na niego, może nie mając siły czy odwagi torować sobie drogi wśród tłumu. W tej chwili wiodła ona wzrokiem za grupą osób, znajdujących się już u przeciwnego końca galeryi. Były to dwie kobiety i jeden mężczyzna, powszechnie w tem mieście znany, przystojny, wzięty, przez panie, szczególnie ulubiony doktor Adam. Jak mnóstwo ludzi innych, przybył on tu dziś dla wysłuchania ciekawej sprawy sądowej, i łatwo było spostrzec, że wychodził pod wpływem poważnych i smutnych wzruszeń. Przecież gdy jedna z jego towarzyszek, wysoka i strojnie ubrana panna, z uśmiechem przemówiła do niego, uśmiechnął się także i w początku

wschodów, pośpieszył podać jej ramię. Joanna uczuła w tej chwili, że ktoś ją chwyta za rękę, i zobaczyła Mieczysława, który schylony nad nią, prędko i cicho mówić zaczął:

— Idź sama do domu. Ja teraz z tobą iść nie mogę. Mam w mieście pilne interesa. Za kilka godzin wrócę. Idź sama do domu.

Wpatrywał się w nią rozognionemi wciąż oczami, i mocno ściskając jej rękę, dodał:

— Nie lękaj się... nie lękaj się tylko... nie lękaj!



W kilka godzin potem, Mieczysław Lipski, znużonym krokiem wstępował na wschody swego mieszkania, powoli przeszedł kuchenkę, i w przyległym pokoju, z głośnem stęknięciem, usiadł na twardej staroświeckiej kanapie. Był widocznie ciężko znużonym, twarz jego wróciła do swej jednolitej papierowej białości; giestem zamyślenia i stroskania przesuwał długą, białą swą ręką po zmarszczonem czole. Nie zdziwiło go to wcale, że Joanny w kuchence nie zobaczył. Zeszła może na dziedziniec, do praczki, albo może zabrała ją na ten dzień do siebie poczciwa Rożnowska.

Jednak Joanna znajdowała się w kuchence, tylko siedziała w ciemnym jej kątku, ukryta za wysoką poręczą łóżka. Widząc wchodzącego brata, nie zerwała się zaraz, jakto bywało zwykle, aby przywitać go i zapytać, czy czego

nie potrzebuje? Nie mogła może od razu wyrwać się z zamyślenia, albo miała do niego trochę żalu zato, że tak nieprędko wracał. Po kilku jednak minutach wstała, i powoli, cicho weszła do przyległego pokoju.

— Jesteś więc! gdzieżeś była?... — zapytał Mieczysław.

— Byłam w domu, tylko mię nie spostrzegłeś. Rożnowska przysyłała prosząc, abym do niej na resztę dnia przyszła, ale nie chciałam... Myślałam, że zaraz przyjdziesz... przyszedłeś tak późno...

— Aha! późno! — mruknął kancelista.

Dziewczynę ta obojętność brata na jej losy widocznie w serce kłóła. Stała o kilka kroków przed nim, ze splecionemi na sukni rękami, oczy jej głęboko zapadłe smutnie świeciły pośród bardzo mizernej twarzy.

— Myślałam, że zechcesz pomówić ze mną w ostatnim dniu... przed rozstaniem...

— Jaki ostatni dzień? jakie rozstanie? — mruknął znowu brat.

— Czyżbyś już zapomniał, że jutro zaprowadzą mnie do więzienia?

Po twarzy jej przebiegło kilka nerwowych drgnień. Zaraz jednak mówiła dalej:

— Trzy miesiące, to czas dość długi... a i potem najpewniej nie wrócę już do ciebie, tylko gdziekolwiek, w jakąkolwiek służbę pójdę... Trzeba więc pomyśleć o twojem gospodarstwie. Dziś wieczorem spiszę dokładnie twoję bieliznę i odzienie, abyś wiedział co masz, i okradać się nie dawał. Matkę Kostusia umówię, aby codzień zrana przychodziła mieszkanie ci uprzątnąć i samowar nastawić.

W domu już jadać nie będziesz, bo któżby ci teraz gotował? Ale pójdę na chwilę do Rożnowskiej i dowiem się, czyby nie chciała za zapłatę obiad ci dawać. Miałbyś u niej jedzenie zdrowsze niż w restauracyi... Pamiętaj także, gdy wieczorem siadasz do pisania, lampę uważnie zapalać, bo masz zwyczaj czynić to tak, że pokój napełnia się dymem i swędem, co ci bardzo na oczy szkodzi... W spiżarce, przy kuchni, jest trochę masła, kaszy i mąki, a w piwnicy kartofli i warzywa sporo... dobrze zrobisz oddając to wszystko Rożnowskiej, jeżeli u niej jadać będziesz. Zawsze to ci trochę pieniędzy oszczędzi...

Gdy tak mówiła, Mieczysław patrzał na nią z dziwnym wyrazem oczu. W tych przedwcześnie zmordowanych i chorych oczach było tyle wesołości i razem tyle żalu, że trudno byłoby powiedzieć, czy wybuchnie on zaraz śmiechem, czy płaczem. Gdy Joanna mówić przestała, zapytał:

— Czy skończyłaś?

— Tak, — odrzekła, — zresztą przez dzisiejszy wieczór i jutrzejszy ranek może jeszcze coś przypomnę sobie...

Nie spuszczając z niej wzroku, przez kilka sekund wstrząsał głową, tak jakby dziwił się czemuś lub nad czemś ubolewał. Potem, nosowym swym przewlekłym głosem mówić zaczął:

— I ty naprawdę myśleć mogłaś, że ja pozwolę na to abyś szła do więzienia i trzy miesiące przesiedziała ze złodziejami i zgubionemi kobietami, w brudach, w błocie?..

Teraz Joanna zdziwiła się bardzo.

— Jakże może być inaczej? wyrok sądowy...

ostateczny...

— Czyś nie słyszała? dwieście talarów kary pieniężnej albo więzienie... dwieście talarów! wyraźnie: dwie-ście! Czy nie słyszałaś?

Uśmiechnęła się i ramionami wzruszyła.

— Owszem, słyszałam. Ale to wszystko jedno. Dla mnie sumę tę dostać jest tem samem, co zdjąć gwiazdę z nieba; ani pomyślałam o tem.

— Aha! nie pomyślałaś — zawołał kancelista i tym razem, zerwawszy się z kanapy, wyprostował się w całej swej cienkości i wysokości, a długie kościste ramiona szeroko rozpostarł, co wszystko nadało mu niejakie podobieństwo do wietrznego młyna. W postawie tej, miotając w powietrzu ramionami, jak młyńskiemi skrzydłami, wołał:

— Zobaczą cię stróże więzienni, tak jak swoje uszy bez lustra! Plwam ja na pieniądze, tam gdzie idzie o honor, a może i życie mojej siostry! Bagatela! trzy miesiące w mokrych murach, w brudzie, błocie, ze złodziejami i łajdaczkami! Nie zpod ogona sroki wyskoczyłaś! Jesteś córką profesora, panną dobrze wychowaną i delikatną... Dlatego, żeśmy zbiednieli, to mamy już tarzać się po więzieniach, ze złodziejami i pijakami! Cha, cha, cha! cha, cha cha!

Nie chodził, ale biegał po pokoju, oddychając prędko, nerwowo śmiejąc się i giestykulując.

Joanna szeroko oczy ze zdziwienia otwierała.

— Ależ na miłość boską! Mieczku! co ty wygadujesz! Zkądżebyś ty wziął tyle pieniędzy? Wszak to

niepodobieństwo!

Stanął i dłonią o stół uderzył.

— Otóż wziąłem! Otóż dostałem! Otóż przekonasz się, że nie jestem takim niedołęgą na jakiego wyglądam, i że ty nie jesteś już tak znowu zupełnie sama na świecie!

Poskoczyła, i ręce jego w swoje pochwyciwszy, mocno je ścisnęła. Mnóstwo uczuć wstrząsało jej rysami: niespodziana nadzieja wyzwolenia się od czegoś, przed czem, w tajemnicy swej duszy śmiertelnie drżała; radość, którą jej sprawiał ten wybuch braterskiej czułości; najbardziej przecież przestrach...

— Zkąd wziąłeś te pieniądze, Mieczku! Jakim sposobem dostałeś te pieniądze? drogi mój, co ty zrobiłeś!

Spróbował ręce swe wydobyć z jej dłoni, ale ona je z całych sił, coraz mocniej ściskała.

— Zkąd wziąłem? nie ukradłem ich przecież. Wiesz o tem dobrze, że nie ukradłem. Pożyczyłem i koniec!

Joanna od stóp do głowy zadrżała.

— Pożyczyłeś! — krzyknęła, — ależ to dla ciebie ostatnia zguba! Jakże ty będziesz mógł tak wielką sumę zwrócić. Suchym chlebem chyba żyjąc! A któż ci pożyczył? Bogatych ludzi nie znamy. Pierwsza Rożnowska dałaby, gdyby miała, ale nie ma. I nikt z tych biednych ludzi takich wielkich pieniędzy nie ma! Któż ci więc je pożyczył? Kto? kto? kto?

I dopóty ścigała go tem natarczywem, gwałtownem pytaniem, dopóty wzrok swój gorejący i strwożony w jego oczach zatapiała, dopóki z niechęcią i prawie gniewem nie wymówił nazwiska jednego z najbardziej znanych w tem

mieście lichwiarzy.

Joanna, uderzyła głośno w dłonie, a potem niemi twarz sobie zakryła.

— Boże! — mówiła — Boże! Boże!

Przez kilka minut, prócz tego jednego wyrazu nic wymówić nie mogła. Biedny jej brat ze zwichniętem życiem przez nią, dla niej, oddawał się jeszcze w ręce lichwiarza, wstępował w przepaść długów, zgryzot, nędzy... Odjęła ręce od oczu i obejmując go ramionami, błagać zaczęła, aby pozwolił jej iść do więzienia. Mówiła mu, że jest zdrową, silną, młodą i może wszystko wytrzymać; że słusznem jest, aby niosła odpowiedzialność za to, co czyniła sama; że ten dług, który zaciągnął, stokroć więcej sprawia jej bolu i trwogi, niż te trzy miesiące... tam!.. A gdy on przecząco wciąż głową wstrząsał i z wielkiem wzruszeniem lecz stanowczo powtarzał: »Nie, Joasiu, nie! nie! ja na to przystać nie mogę!« osunęła się na klęczki i rękoma kolana jego objąwszy, błagała go gradem słów, które przechodziły w namiętne krzyki.

— Mieczku! najdroższy! pozwól, pozwól, pozwól mi tam pójść, a pieniądze te odnieś temu, od kogo je wziąłeś... Zaraz, zaraz, zaraz je odnieś! Pozwól braciszku złoty, pozwól mi tam pójść!

Płakała gradem łez. Wielki warkocz jasnych włosów odwinął się z jej głowy, i rozpleciony, stargany, strugą bladego złota osypywał grube obuwie kancelisty. Ale on, schyliwszy się prędko i podnosząc ją z klęczek, długiemi swemi, twardemi ramionami, mocno do swej piersi przycisnął.

— To już, moja droga, być nie może. Pieniędzy tych oddać nie mogę. Są już one u tego urzędnika, który tu przyjść miał jutro rano, aby cię do więzienia zaprowadzić, — a teraz nie ma po kogo przychodzić! Cha, cha, cha, cha!

Śmiał się trochę gapiowato a trochę nerwowo, ze szczególnem zmieszaniem tryumfu i goryczy. Ona cicho, głęboko na jego piersi płakała. Stało się. Dlatego przez kilka godzin do domu nie wracał, że starał się o pieniądze i odnosił je temu, komu należało. Wdzięczność bez granic, radość wyzwolenia, żal nad bratem i trwoga o jego przyszłość, przejmowały do głębi dziewczynę starganą strasznemi wrażeniami tego dnia. Nie mogła mówić, tylko z całej siły przyciskała się do piersi tego dziwnego chłopca, który miał pozór tak zgnębiony i zamarły, wydawał się zwykle tak obojętnym, a teraz...

Przycisnęła usta do jego ręki i cicho rzekła:

— Niechże więc będzie tak, jak ty chciałeś.

Zmęczony Mieczysław położył się na kanapie, za stołem okrytym kancelaryjnemi papierami. Joanna wróciła do kuchni i zakrzątnęła się około nastawiania samowaru. Napełniła samowar wodą i ze dzbankiem w ręku stała chwilę nieruchoma. Potem, widocznie zmuszając się do ruchu, nabrała z piecyka węgli, które także do samowara wrzuciwszy, znowu zwiesiła ręce na suknię, i stanęła prosta, sztywna, szklanym wzrokiem patrząc na stojącą u ściany szafkę. Sprzęt ten przypomniał jej snać o czemś, bo postąpiła ku niemu i zaczęła z niego wyjmować szklanki i łyżeczki. Ale te dwie ostatnie wypadły jej z ręki na podłogę, ona zaś, zamiast je podnieść, pochwyciła nóż i

bułkę chleba. Ruchy jej były prędkie i nierówne, co chwila powstrzymywane nieodpartem zamyśleniem. Nakoniec nóż i chleb na stół rzuciła, i rękami twarz zakrywając, a czoło przyciskając do drzwiczek szafki, wybuchnęła gwałtownie tłumionym płaczem. Co ona teraz z sobą pocznie? Jaka teraz będzie jego przyszłość? O! straszna pustka jej życia, a straszniejsze jeszcze jego troski, zgryzoty, ruina! Stłumiła łkania i płakać przestała. Lękała się, aby jej płacz w przyległym pokoju nie był usłyszanym i przestała płakać. Ale nic robić nie mogła; formalnie nie mogła. Trzeba jej było myśleć, myśleć, myśleć i myślami temi zjadać własne serce. Usiadła na ławce przy oknie i myślała. Osłupiały wzrok jej błądził za szybami, nie widząc nic, prócz kilku czarnych brzydkich dachów i kawałka nieba zasnutego wydobywającym się z kominów tłustym dymem. Nie było w tym widoku żadnej rozrywki i żadnej pociechy; więc też twarz Joanny stawała się coraz bardziej posępną. Łzy jej oschły, ale bladą zazwyczaj cerę zapłynął odcień przykrej żółtości, a po spłowiałych ustach, po raz pierwszy w jej życiu wić się zaczął gniewny, cierpki uśmiech.

Wtem, drzwi od kuchenki skrzypnęły i ukazały się dwie dziecinne postacie. Był to duży Kostuś w swem ubraniu z grubego płótna, bosy, ciężki, przygarbiony i za rękę prowadzący małą pucatą Mańkę, prędko drepczącą także bosemi nóżkami, wydobywającemi się prawie po kolana zpod luźnej, spłowiałej sukienczyny. Nie upłynęło kilku sekund, a chłopak, lękliwie i z zasępioną jakąś czułością, zpod brwi spoglądając, przed Joanną ukląkł, dziewczynka zaś trzepocząc małemi nogami i rękami, z cichym

chychotem na kolana jej wskoczyła. U nóg Joanny leżał pęk czeremchy, która teraz właśnie rozkwitała na świecie, a której sporą garść syn ślusarza narwał zapewne w czyimś ogrodzie, i milcząc, tu na podłodze położył. Silny zapach tego śnieżnego, wiosennego kwiatu napełnił kuchenkę. Kostuś zaś, wciąż tem samem spojrzeniem przywiązanego i lękliwego zwierzątka zpod brwi na nią patrząc, wyjął z zanadrza spory zeszyt i rozwarłszy go, powoli zaczął czytać:

— Próż-nia-ctwo jest oj-cem wszy-stkich grze-chów. Kto ra-no wsta-je, te-mu Pan Bóg da-je.

A mała Mańka, także zza sukienki wyjęła stary elementarzyk, zbrudzony, zgnieciony, i roztwierając go na tej karcie, gdzie się znajdował alfabet, zaczęła:

— A... b... c...

Joanna zcicha śmiać się zaczęła, i całowała ciemne, zmarszczone czoło chłopca i jędrny, rumiany policzek dziewczynki. Oni ucieszyli się tem bardzo. Ztąd powstał mały gwar. Z sąsiedniego pokoju, nosowy, zaspany głos zapytał:

— Kto tam taki, Joasiu? Z kim rozmawiasz?

Joanna spłonęła ciemnym rumieńcem i twarz ku oknu odwracając, odpowiedziała:

— Dzieci...

— Dzieci! — zawołał Mieczysław i natychmiast stanął w progu. Na policzkach jego znowu wybiły się czerwone plamy, i oczy mu pałały, ale tym razem gniewem. Właściwie był to gniew pochodzący z przestrachu, który wyraźnie malował się na twarzy, w postawie i wszystkich

ruchach kancelisty.

— Znowu dzieci! — powtórzył głosem podniesionym, — czy zupełnie już mam zginąć przez te przebrzydłe bębny? Czy niedość już było biedy? Jeszcze może miejsce w biurze i ostatni kawałek chleba mam stracić!

Giestykulował popędliwie i nogą o podłogę uderzał. Przestrach niespodziewaną siłę nadawał jego głosowi. Przeraźliwie prawie krzyknął:

— Precz mi ztąd, malcy! Żeby tu od dnia dzisiejszego noga wasza nie postała; bo jak was jeszcze kiedy zobaczę, na gorzkie jabłko stłókę. Precz! precz!

Chłopiec i dziewczynka w mgnieniu oka zniknęli...

Joanna zapaliła lampkę, urządziła herbatę, i razem z pokrojoną na talerzu bułką zaniosła ją bratu, który przy zapalonej też lampie pilnie już pisał. Codziennie spędzał nad takiem pisaniem długie godziny i w biurze i w domu. Postawiwszy szklankę i talerz na stole, pochyliła się i pocałowała schyloną nad papierami głowę brata. O! najlżejszej do niego nie czuła urazy. Miał prawo tak postąpić, był przelęknionym, lękanie się to rozumiała. Tylko czuła, myślała, że znowu koniecznie coś z sobą począć wypada, jak najrychlej! jak najrychlej!

Tymczasem usiadła w kuchence i zaczęła wyszywać na nowej chustce cyfrę Mieczysława.

Czeremcha przez dużego Kostusia przyniesiona, napełniała kuchenkę odurzającym zapachem; samowar stojący, u pieca, szumiał i parą buchał; z dołu, zpod podłogi dochodziły głuche szmery, nad któremi od chwili do chwili wzbijał się stuk przewróconego sprzętu, albo kłótliwy czy

hulaszczy okrzyk. Szynk tam rozpoczynał swoje nocne, podziemne życie.

Ale, co tam takiego zaszeleściło za wysoką poręczą łóżka — i ze zmroku, tuż przy ziemi, wysuwać się zaczęło, z nieokreślonemi formami?.. zwierzątko? dziecko?.. Jakieś dwie rączki opierały się o podłogę... jakieś jasne włosy odbiły się bladem złotem na tle brudnej ściany, jakaś para oczu zaświeciła przeczystym błękitem... Było to dziecko, które przez kilka sekund pocichu pełznąc na czworakach, nagle, z wybuchem śmiechu, wskoczyło na kolana osłupiałej w swym smutku dziewczyny.

Duży Kostuś uciekł, a mała Mańka schowała się tylko za łóżko i czekała, póki *pan* nie przestanie gniewać się i krzyczeć. Ona tu i dziś nocować będzie, jak wiele razy nocowała; a teraz, chce trochę z elementarza poczytać, pokazać co już umie... że już wszystko umie... Wszystko, od *a* aż do *p*... od *p* nie umie ale, *wczoraj* nauczy się...

Chciała zapewne powiedzieć *jutro*, a powiedziała *wczoraj*, ale to nic! Joanna znowu całowała ją i zapytała, czy rodzice jej wiedzą o tem, że tu nocować zamierza?

Z przyległego pokoju zabrzmiało pytanie:

— Kto tam znowu? Z kim rozmawiasz Joasiu?

Zcicha i z wielkiem zmieszaniem Joanna odrzekła:

— To Mańka... Czy mam powiedzieć jej, aby szła precz?

W przyległym pokoju, przez długą minutę panowało milczenie; aż przewlekły, nosowy głos męski wymówił:

— Daj jej trochę herbaty.

W dole pod podłogą, rozległo się znowu głośne stuknięcie i zawrzał bezładny hałas. Czy tam pijak jaki

upadł i głową uderzył się o róg ławy? Może człowiek na człowieka podniósł pięść tak silną, że go obalił na ziemię okrytą śmieciem i zalaną trunkiem? Może to takim stukiem i krzykiem zawrzała tam bezrozumna, bezecna zabawa?

Nad zuchwałym hałasem szynku, w kuchence oświetlonej małą lampą i napełnionej zapachem czeremchy, blada dziewczyna, z twarzą zmęczoną i zapłakanemi oczami, trzymała na kolanach bose, pucate, śmiejące się dziecko. Zza krótkiej, spłowiałej sukienki, tłusta, czerwona rączka dziecinna wyjęła znowu mały, zbrudzony, zgnieciony elementarzyk, a srebrny głosik zadzwonił długim, figlarnym śmiechem.

Z przyległego pokoju ozwało się przeciągłe syknięcie:

— C-i-i-i-cho!

— C-i-i-i-cho! — schylona nad dzieckiem powtórzyła Joanna.

Maleństwo stłumiło srebrną dźwięczność swego głosu, i tłustym, krótkim paluszkiem o każdą z liter uderzając, cicho, szeptem prawie czytało

— A... b... c...



*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Eliza Orzeszkowa.*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: A... B... C...

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Wieralee
- Salicyna
- Anwar2
- Joanna Le
- NuxBot
- Vearthy
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/

3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium